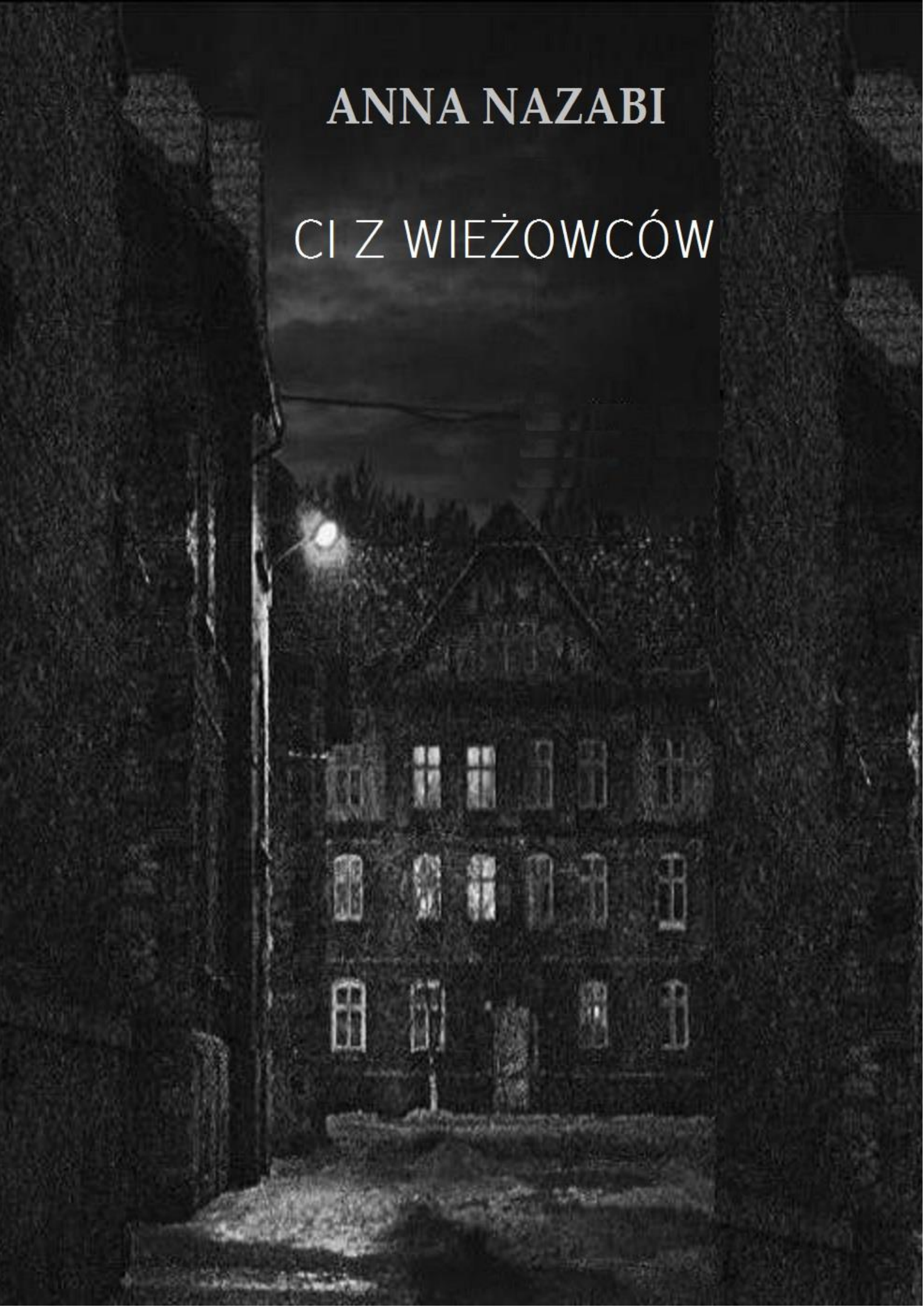

ANNA NAZABI

CI Z WIEŻOWCÓW

Anna Nazabi

Ci z wieżowców

Copyright by Anna Nazabi

ISBN 978-83-272-4503-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie bądź kopiowanie całości lub części publikacji
zabronione bez pisemnej zgody autora.

Książka jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń rzeczywistych są przypadkowe.

Ludziom żyło się dobrze. Lepiej lub gorzej. Byli ci bogacze, którzy mieszkali w wielkich wieżowcach sięgających chmur. Byli ci z klasy średniej, która pracowała na tych z wieżowców, ale klasa średnia nie narzekała, bo starczało im na wszystko, na co starczało tym z wieżowców, tylko w gorszej jakości. Był taki Adrian. Przedstawiciel klasy średniej. Ukończył dobrą szkołę średnią, na kierunku średnio pożądanym. Potem poszedł na studia i ukończył je na kierunku średnio pożądanym. I Adrian wkroczył w szeregi klasy pracującej. I dostał pracę w firmie produkcyjnej. I jego praca polegała na analizie, ile produkować, żeby było średnio. Wyjrzał za okno. Miał taki piękny widok na oczyszczalnię i starą wieżę ciśnień. Tęsknie popatrzył na jej niestabilne mury. Widok był zapierający dech, gdy przychodził do pracy przed wschodem. Wówczas wieżę muskała taka wściekła czerwień, która przypominała Adrianowi o tych, co wylali swą krew, by on tak sobie po prostu mógł siedzieć i pić kawę z rana. Rzadko był w pracy tak wcześnie. Nigdy z konieczności, tylko dla wrażeń estetycznych. Otworzył okno. Powitał go smród z oczyszczalni, ale to był przynajmniej smród, który nie miał nic wspólnego z wojną, z klęską… Kawa smakowała nie najlepiej, bo woda w kranie była przemysłowa. Właściciel był jednym z tych, co mieszkają w wieżowcu i wyznawał zasadę, że klasie średniej należy się wszystko to samo co im, tylko gorszej jakości. Wodę też mieli gorszej jakości. Nikt tego nie dostrzegał prócz Adriana. Wezwał go prezes. Adrian wstał z ociąganiem. Zapewne mu się oberwie za te tygodniowe raporty, które spieprzył. Tak jakoś wyszło. Bo on wciąż żył w roku poprzednim. I robił raporty na bazie danych ze stycznia zeszłego roku. Przecież każdemu się mogło zdarzyć. Był raport, tylko gorszej jakości. Szef siedział na krześle, które było zwykłym krzesłem, tylko lepszej jakości. Adrian sam oglądał ostatnio w sklepie krzesła. Taki duży wybór, że on stracił głowę. Ze skóry, zamszowe i z materiału, w przeróżnych kolorach i design. A on patrzył na śliczną blondyneczkę, która mu te wszystkie krzesła po kolei pokazywała i omawiała ich dodatkowe funkcje. Bo niby jedne mają podgrzewane siedziska, a inne znów odchylane oparcie. I zastanawiał się, co myślał ktoś, kto wynalazł krzesło. No, ale były przecież wielkie kamyki przy rzece, na których się siadało, pnie drzewa i te modernistyczne już krawężniki z kostki brukowej. Tylko że krawężniki pojawiły się dużo później. Adrian patrzył na te krzesła. Najtańsze kosztowało z jedną dwudziestą jego wypłaty. I uznał, że pójdzie do tartaku po pieniek. A potem go sobie pomaluje i będzie miał prawie za darmo. A teraz patrzył na krzesło szefa te, które kosztowało nie jedną dwudziestą jego wypłaty, tylko jedną jego wypłatę i starał się zrozumieć, co on do niego mówi. Upierdziela go, rzecz ujmując barwniej.

- Dlaczego raporty przez cały tydzień są na starych danych? Produkcja z ostatniego tygodnia będzie musiała iść na magazyn. Nie zostanie sprzedana, a koszty obciążą firmę. Co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

- Zostanie sprzedana w przyszłym tygodniu, w którym produkcja będzie o tyle mniejsza - zauważył.

- A koszty stałe!

No tak i już nic nie miał na swoją obronę. Spieprzył. Zapewne dostanie wypowiedzenie.

- Przez trzy miesiące zawieszam panu premię – mówi szef tonem podniesionym.
No to już jego wypłata nie starczyłaby na to krzesło.
- Mogę już iść? – pyta beznamiętnie.
- Proszę poprawić raporty. Właściwie to proszę zrobić nowe, które uwzględnią korektę. Trzeba straty odbić.
Wychodzi z gabinetu. Słyszy jeszcze, jak szef wzdycha. Dlaczego w tym sekretariacie tak pachnie? A i już widzi w rogu odświeżacz powietrza. Okna się nie da otworzyć, bo jest gorszej jakości. Dlatego są te odświeżacze. To on już woli zapach własnego potu. Po co ma wdychać, te wszystkie chemiczne związki, które w tym siedzą. Ma poprawić raporty, a taki jest senny. Nie będzie ich na nowo robił. To za dużo pracy, jemu się nie chce. W sekretariacie była klimatyzacja i panuje tam dziwny zapach. On, jak musi tam dłużej posiedzieć, to dostaje wysypki. Pewno ma alergię. Wchodzi do łazienki i patrzy na swoją twarz. To ile on ma właściwie tych lat? No już dwadzieścia sześć, a wygląda na okrągłe trzydzieści. Pewno dlatego, że oddycha powietrzem gorszej jakości, pije wodę gorszej jakości, w lodówce jedzenie gorszej jakości, ale i tak te polecane, czyli jednak lepszej jakości od tej gorszej. Już sam się gubi w tym wszystkim. W łazience babskiej słyszy rozmowę koleżanek. Jedna opowiada o mężu, któremu już nie staje. A ta druga reklamuje jej jakiś specyfik. Ci z wieżowców go używają. Oczywiście nie wszyscy, ale niektórzy tak, i są wtedy sprawniejsi. Co jeszcze mają ci z wieżowców? On słucha. Ach no tak. Oni mają sztuczne, wydłużone, pogrubione, odmłodzone... On się zastanawia, po co? Przecież im więcej zmarszczek, tym lepiej, przynajmniej na tej części ciała. Nie każdy to jednak pochwala, co on sobie tam w skrytości myśli. I ci z wieżowców… ona mówi, że próbuje się wkręcić do ich świata, poprzez chłopaka, którego poznała w dyskotece. I taki z wieżowców był w dyskotece gorszej jakości? On myśli. Czy może ona jakimś cudem trafiła na dyskotekę od tych z wieżowców? To było interesujące. Może on też by się wkręcił? Jak nazywa się ta dziewczyna? Czy on ją pozna po głosie? Ciekawe, czy one też go słyszą jak sika? Zwalnia strumień, by być ciszej. Jakoś tak głupio mu się zrobiło. Bo niby toaleta nie jest koedukacyjna, ale ta luka u góry bezsensowna. Na cegły im brakło czy co? Wychodzi z łazienki i stoi koło drzwi. Udaje, że myśli. Udawanie, że się myśli, to chyba nie jest najlepszy kamuflaż. Tylko, co on ma zrobić, by one nie myślały, że on czeka? Schyla się i but wiąże. Właściwie to go najpierw musiał rozwiązać, żeby potem związać. I tak z sześć razy, aż one w końcu wyszły. Olga fakturzystka i Mirka magazynierka. I co? Jak on ma się teraz dowiedzieć, która to była?

Wchodzi do mieszkania i od razu pada ze zmęczenia. Na kanapę pada. Nic mu się nie chce. Włącza telewizor. Leci jakiś program o gotowaniu, a potem film obyczajowy. On ma w sumie dużo podziwu dla tych aktorów. On by się nie umiał tak wczuć w jakąś rolę. Zmienia kanał. Jakiś film o niedźwiedziach. Świetne wykonanie. Uwielbia filmy przyrodnicze. Był ostatnio w kinie na takim filmie 3D. Nie o niedźwiedziach, ale o sawannie. Tak było miło. Siadł, zaczął jeść popcorn. Obok

niego jakieś dziecko siorbało napój. Kurcze. Ciekawe, jakie kina mają ci z wieżowców?6D,10D? Czyli, że jak? On myśli. Jakoś mu się nie wydaje, żeby takie 6D było lepsze od 3D. Był kiedyś na takim 5D. Polała go woda, ktoś go uszczypnął. Czemu on jest ciągle zmęczony? Może powinien do lekarza iść? Dlaczego? U niego to był ostatnio taki standard. Przychodzi z pracy, leży na kanapie, zasypia. Właśnie sobie uzmysłowił, że nie je. Próbuje sobie przypomnieć, czy jadł coś w pracy. Jadł kanapkę z szynką i ogórkiem. Janka mu przyniosła. Ona jest taką miłą dziewczyną. Ma proste włosy, które zawsze w kok upina. Tak bardzo wysoko. Ma szpiczasty podbródek, ale nie mocno. Pasuje jej. Ładne usta, wąskie, ale o miłym dla oka kształcie. I smutne oczy. Janka straciła rodzinę. Byli w górach i trafił w nich piorun. On to słyszał od pani kasjerki w sklepie i myślał wtedy, że tak mu żal tych, co zostali z tej rodziny. I następnego dnia w pracy się dowiedział, że Janka była tą, której było mu żal. Ona zajmowała się płatnościami. Kasą i przelewami. Rozmawiał z nią kiedyś o tych z wieżowców. Budowali je pół wieku. Jego babcia miała osiem lat, gdy zaczęli stawiać pierwszy. Wieżowce tak wysokie, że sięgały chmur. Ci, którzy tam mieszkali, dotykali chmur, oczywiście tak w przenośni. Ciekawe, kto wpadł na ten pomysł? Starsi ludzie znali inne życie. On był z pokolenia, które nie znało innego. Bo w pewnym momencie to przestały być tylko domy w wieżowcach, a rozpoczął się podział społeczny. On czytał wiele książek o dystryktach, slumsach, gettach. To nie było tak. To nie ich życie się zmieniło, tych z aktualnej klasy średniej. To nie oni zostali odseparowani, zesłani, zamknięci. To ci z wieżowców się odgrodzili. Ale o czym to on myślał wcześniej? No tak. I rozmawiał z Janką o wieżowcach. W pracy miał dużo czasu, by rozmawiać. I ona mu powiedziała, że jadła kiedyś ich chleb. To go bardzo zaciekawiło. Jak smakował ich chleb? On ją spytał. Naprawdę ciśnienie mu skoczyło, puls przyspieszył, takiego przecieku to on się nie spodziewał. A jednak. Tylko skąd Janka miała ich chleb? Patrzył na nią oczekująco. I aż mu dech zaparło, gdy ona usta otwarła. Tylko że to, co usłyszał, go nie satysfakcjonuje. Myślał, że oni mają najcudowniejszy, najbardziej pachnący chleb, którego smaku on sobie nawet nie umie wyobrazić, a ona jadła ich chleb, nie jedząc go wcale i było to najwspanialsze doznanie w jej życiu. On nie rozumie.

W sobotę przed południem był w kinie, a potem odwiedził babcię. Jej dom stał na końcu długiej drogi. Teraz była ośnieżona. Latarnie świeciły delikatnym światłem. Energooszczędne? Gorsze mieli światło niż ci z wieżowców. Prąd ten sam, ale światło gorsze. Mieli też mniej słońca, bo te wieżowce powodowały cień. Kiedy to się stało, że byli oni i my? Myślał. Tak dyskretnie, niepostrzeżenie. Zaczęło się od małych rzeczy, a skończyło na wielkich. Dom babci był zielony. Ciemna zieleń, nie zgniła, raczej taka ożywcza. Nie wiosenna, a taka z samego środka lata. Intensywna, chwilami jaskrawa, gdy padały na nią promienie słoneczne. A one padały tak rzadko. Babcia miała mały warzywnik. Teraz w zimie to oczywiście pokryty puchem. I czasem jej tam coś urosło. Jakaś marchewka, czy pomidor. Smutne, że one i tak nie smakowały już, jak kiedyś. On pamiętał jeszcze z dzieciństwa ten smak pomidorów. Taki słodko-kwaśny. Teraz nie kupował już pomidorów. Jego

ulubionym warzywem była brukselka. Nienawidził jej w dzieciństwie i nadal smakowała tak samo. Miał tę pewność, że to była ta sama brukselka, a nie jakaś gorszej jakości. Tylko jak to było, że jedne rzeczy się zmieniały, a inne nie? Babcia otwarła mu drzwi, ubrana jak zwykle w swój stary dres. Na jej nosie wciąż te same duże okulary. Kochał tę swoją babcię. Zawsze przychodził do niej w soboty. Przynosił węgiel z piwnicy, wycierał podłogi, mył łazienkę. Potem siedzieli z babcią i rozmawiali. Lubił słuchać opowieści o dawnych czasach. Tak bardzo wtedy zazdrościł swojej babci, że ona miała okazję przeżyć coś tak magicznego. Chociaż był szczęśliwy, że może przynajmniej słuchać. Uwielbiał też stare filmy, a im starsze, tym bardziej je uwielbiał. Do kina na nowości chodził tylko na filmy przyrodnicze w 3D.

- Powiedz mi babciu - podparł brodę na dłoni - Dlaczego to się stało?

- Ale co masz na myśli dziecko? - popatrzyła na niego przez te swoje wielkie okulary.

- Mam na myśli ten świat. Te wieżowce.

- Nie wiem, co ty się tak uparłeś na te wieżowce. A źle ci tutaj? Ja ci coś o nich powiem. Był taki czas, kiedy moja matka była młoda, że też budowali wieżowce. I pokrywali je płytą azbestową. Ty nie wiesz dziecko, co to płyta azbestowa, ale nie to jest tutaj istotne. Chcę ci powiedzieć, że kiedyś tamte wieżowce też były modne, a już dwadzieścia lat później nikt nie chciał w nich mieszkać. Każdy marzył o domu i ogrodzie, i to było takim szczytem luksusu jak te twoje wieżowce teraz. Ze szkła one są, czy z metalu? Ja sama nie wiem. Jak na nie patrzę, to mnie głowa boli. I czemu niby te wieżowce i ci ludzie tam są tacy lepsi?

- Ale ja właśnie chciałbym to wiedzieć. Co jest w nich lepszego, że oni są tam, a my tutaj?

- Wszyscy młodzi tam ciągnięcie. Macie jakąś swoją wizję. A źle ci tutaj?

- Nie wiem, czy mi źle.

- Jak w pracy?

- Jak zwykle - zrobił łyk herbaty.

Miał jakiś tam plan i to go trochę pobudzało do życia. I nawet ciasto babci było jakby lepsze.

- Taki z ciebie przystojniak, a ciągle sam - powiedziała nagle - Te czarne włosy to masz po ojcu. On też był przystojniak. Pięknie wyglądał w mundurze.

Jego ojciec zginął na wojnie. Jakiej? On nie wiedział. Na jakiejś. Wysłali go i zginął. Matka też nie żyła. Ale ona akurat przy jego porodzie umarła, więc jej nie pamiętał. Babcia była całym jego światem. Ta kochana staruszka. Ile ona mu serca w życiu pokazała, ile razy go jej dłonie tuliły. Nie jest łatwo sierocie, a został sierotą, jak miał sześć lat. Może dlatego był taki, jaki był, powściągliwy i ostrożny. Niewiele rozmawiali o rodzicach, jeszcze mniej o wieżowcach. Babcia nie chciała o nich też słuchać. Odgrodziła się od tamtego świata i żyła tylko w tym swoim. Jego też odgrodziła. Otulony kokonem on był. Im dłużej żył, tym intensywniej to dostrzegał.

Wchodzi do budynku swojego zakładu pracy. Był spóźniony i na pewno mu to wytkną. Nie, żeby się

przejmował. Nigdy się zbytnio nie przyjmował. No bo czym? Swoje zrobi, a nawet więcej. Przecież robili, żeby było średnio. A on czasem i robił, żeby było lepiej niż średnio. Był wzorowym pracownikiem, ale niestety jak on się spóźnił, to właściciel przyjechał z delegacją. I właściciel zobaczył, że Adrian się spóźnił. Przynajmniej zdążył wejść do budynku przed właścicielem. Szybko przemknął. I stanął w szeregu obok innych, którzy już stali wcześniej. Bo oni się nie spóźnili, a on tak. Gdy właściciel wszedł, to wszyscy już się kłaniali. A taki Norman najbardziej. Bo Norman nie miał skończonej szkoły na średnio pożądanym kierunku i na miejsce Normana nie było tylu chętnych, co na miejsce Adriana, tylko więcej. A nawet ta ilość, co na miejsce Adriana, tylko do kwadratu. I Norman się schylił tak usłużnie i tak nisko, że aż nosem czubków buta dotykał. I już się nie podniósł. Nastały ciężkie czasy dla rodziny Normana. Po Normana przyjechała karetka. W czasie odpowiednim, przeciętnym. Nie za szybko i nie za wolno. On zdążył ziewnąć z pięć razy i przygotować raport. I potem była narada. I pracownicy najwyżsi pozycją, dywagowali razem z prezesem. A tam w pokoju z perskim dywanem na podłodze, z krzesłem dużo wyższej jakości, niż to w gabinecie prezesa, tak drogim, że on pracując rok by i tak na niego nie zarobił - siedział on – właściciel z wieżowców. Jeden z tych, co byli w hierarchii wyżej od Adriana, z tym innym, który też był w hierarchii wyżej od niego, kłócili się, który jest w hierarchii wyższej z tych wyższych i ma iść zanieść temu z wieżowca kawę. A kawę, okazało się, mieli tylko tę ichnią, średniej jakości. Tamtej zostało z pół łyżeczki, a pół łyżeczki to stanowczo za mało. Zaczął się wyścig z czasem. I nagle się zorientowali, że to Norman przynosił do firmy kawę najwyższej jakości. A przecież nie było Normana. I nie było nikogo za Normana. No i kawy najwyższej jakości praktycznie też nie było. Bo nikt się nie spodziewał odwiedzin i ta resztka kawy, która została od ostatniej wizyty, nie starczy na filiżankę z porcelany tej najwyższej jakości, ale starczy na filiżankę z porcelany średniej jakości. Bo rozmiar też miały różny. Myślą...dumają...Nie jest dobrze. I jego wyznaczyli, by z kawą poszedł. Bo jak filiżanka nie jest tą najwyższej jakości, to żaden z tych z hierarchii wyżej niż on, tej kawy zanieść nie może. I już nikt się nie przejmował, że taca też jest gorszej jakości, bo przecież to Adrian ją niesie. A on i tak źle przygotował raport i się spóźnił, kiedy właściciel patrzył. Nawet Adrian nie wiedział, że już jest w hierarchii niżej niż Norman. Bo przecież po Normana karetka przyjechała, jak właściciel był już w pokoju z perskim dywanem. Co się nakłonił, to jego. I właściciel nawet zauważył, że Norman najniżej się kłania. I cały czas, gdy inni już stali. W takiej niezwykle niewygodnej pozie. Wciąż się kłaniał. Właściciel nie wiedział, że Norman się tak kłania, bo się podnieść nie może. I nagle się okazało, że na miejsce Adriana jest już tylu, co na miejsce Normana, tylko do kwadratu. Niósł tę tacę, co oni mu podsunęli. Wszyscy pouciekali. Bo przecież nikt już nie zrobi lepszego wrażenia od Normana. Może być tylko gorsze. I wszedł Adrian do tego gabinetu. I stanął twarzą w twarz z właścicielem. I patrzy, i patrzy. Widzi garnitur najwyższej jakości, z materiału, jakiego on nie zna. Aksamit? Skóra? Nie jest pewny. Krawat, czarne spodnie, koszula, marynarka. Buty takie, które kosztują pewno tyle, co dom babci. Obcięcie wyrafinowane, ręką fryzjera artysty. Włosy czarne. Czerń, ta najczarniejsza, że

czarniejszej już nie ma. Edmund Pańko kontra Adrian Warkoczyk. Ręka mu drży, a tamten na niego patrzy i na tę tacę. Pewno sobie myśli, że on jest sekretarką. A gdzie była sekretarka? I czemu jego, a nie ją wystawili na ścięcie. Teraz to on się wkurzył, że dał się tak paskudnie wrobić. I z taką mocą to do niego trafia, ta wiedza, ten fakt dopiero uświadomiony. Zrobili go! I to sekretarka! Ale nie, to nie jej wina przecież. Nieuczciwie by ją teraz posądził. Bo jak oni myśleli, że są w posiadaniu odpowiedniej ilości kawy, to jej nawet nie rozważali, by ona ją zaniosła. Chciał to zrobić jeden dyrektor i drugi i trzeci. Prezes też chciał, on tak sobie myśli, ale mu nie wypadało. A to była taka okazja, by się pokazać, niosąc tę kawę najwyższej jakości. Nie będzie już potępiał tej sekretarki, bo ona przecież nie była winna.

- Proszę się kawą poczęstować.

- Jak się pan nazywa? - spytał Edmund – Wypadałoby się przywitać.

- Kłaniałem się jak wszyscy - on się chyba zapomniał, ale już jest taki nabuzowany.

Edmunda to jednak nie zraża.

- To interesujące – mówi - Jak się pan nazywa?

- Adrian W...ar..koczyk.

Edmund zakrywa usta dłonią. Czy on się śmieje?

- Panie Warkoczyk, a co pan w tej firmie robi?

On wie, że ten Edmund to zrobił specjalnie.

- Jestem analitykiem.

- Analityk Warkoczyk.

Teraz to już było bezczelne praktycznie. Czy on go wyzywał? Najwyraźniej. Na pojedynek słowny. On słyszał już takie opowieści o tych z wieżowców, że oni czasem lubili się tak bratać na pokaz. Bawić w pojedynki słowne. Dla rozrywki. Ale on mu satysfakcji nie da. Ma dumę. I to wyższej jakości od Edmunda. On mu pokaże.

- Analityku Warkoczyk, a dlaczego taki mały zysk?

- Ee ee. No - on myśli - Jest taki, jaki ma być – mówi pod nosem.

- A co to znaczy?

- No dokładnie to, co powiedziałem – Edmund się jednak nie chce bawić, bo przechodzi do konkretów.

- Trudno się z panem rozmawia. Proszę mi kawę podsunąć.

Podsunąć...podsunąć. On już szczękościsku dostał. Siedział zawsze w tym swoim pokoju, z tym pięknym widokiem na wieżę ciśnień, i nigdy nie miał kontaktu z tymi z wieżowców, ale on się nie spodziewał, że to będzie tak wyglądało. Podsuwa tacę Edmundowi.

- Dlaczego ta taca jest z plastiku?

To pewno źle. On myśli. Ale co ma odpowiedzieć?

- Taca i taka z plastiku i taka ze złota, to wciąż tylko taca. Przecież ona nie ma żadnej ważnej roli do spełnienia. Prawda?

Edmund mruży oczy. Tak. Adrian wie, że jutro dostanie wypowiedzenie.

- Proszę zabrać tę tacę sprzed mojego wzroku.

Adrian chwyta za filiżankę. Ręce mu się trzęsą. A jak wyleje teraz kawę? Uleje choćby? O zgrozo. On czuje już taką straszną presję. Chyba dzisiaj nie może sam spać. Do babci przyjdzie, a ona mu kakao zrobi. I odstawia szklankę na stół. I dostrzega kątem oka, że ona jest nadszczerbiona. Leciutko, leciuteńko, ale jednak. On już jest martwy. Dlaczego jemu w krzyżu nie strzeliło jak Normanowi? No dlaczego? Dał się wrobić. Już po nim.

- Panie Warkoczyk. Taca.

Już ją bierze. W sumie to dobry moment, by uciec. I zaczął wychodzić. Już nawet przez drzwi na drugą stronę przeszedł, gdy usłyszał.

- I proszę zaraz wrócić.

W toalecie się zamknął i ani myśli tam wracać. Przecież i tak jest już zwolniony. No i nie wrócił. A co sobie ten Edmund z tą kawą zrobił, to już nie jego problem. I czy sobie Edmund z filiżanki nadszczerbionej wypił? Też nie jego. I sobie poszedł do domu, zostawiając ich tam wszystkich, by się kłaniali niżej niż Norman. A i tak nikomu się nie uda. Norman był niepokonalny.

Babcia zrobiła mu kakao. Dała koc ciepły i włączyła swój telewizor. Stary, nie plazmowy, ale ten klimat w domu babci, tego nic nie zastąpi.

- Dziecko, a coś się stało? Bo ja widzę, że ty taki zmartwiony jesteś?

- Nie babciu. Nie wiem. Pewno będę musiał pracy szukać.

Nie to go martwi. Tylko że razem z Olgą, czy tą Mirką, on się nie wkręci na tę dyskotekę. Dlaczego chciał nadal mieć coś do czynienia z tymi z wieżowców? Bo on chciał ich chleba spróbować. I wejść do tego wieżowca i... on tyle miał planów. A teraz go szukanie pracy czeka. Na kanapie przed telewizorem on leży, a babcia siedzi w fotelu. Przyjemnie w tym domu babci. On się powinien wprowadzić. I tak jest samotny, dziewczyny nie ma, chłopaka też nie. U babci w domu miał swój pokój. W piwnicy pradziadka pełno książek. Na kanapie on leży i zasypia. Nie pamięta, nawet kiedy w końcu zasnął, ale gdy się obudził był już dzień następny, a on niepodważalnie znów spóźniony. Dlaczego go babcia nie obudziła? Nie było jej w pokoju, z kuchni go zapach kawy nęci. Zebrał się jednak szybko. Nie ma już czasu na tę kawę. A szkoda. Po co on się właściwie tak śpieszy? Pewno jeszcze szybciej przyjdzie mu spakować swoje rzeczy, gdy już do biura wejdzie. Pewno wypowiedzenie już na biurku zastanie. Pewno wszyscy będą po nim płakać, ale z radości, że to nie oni są na jego miejscu. On to dokładnie przewidział. Zmarznięty był, gdy wszedł do biura, ale nie dlatego się wszyscy na niego patrzą, że on bałwana przypomina. Tego to akurat nie przewidział, że się tak wszyscy będą lampili. To nie jest jego wymysł! Bez przesady znów! Najpierw sekretarka Mariola. Potem te dwie z toalety. Potem kilku innych, których on nie zna z imienia. Janka i Daniel technolog. No i dyrektor jeden i dwa i trzy i.

- Wylali go - mówi mu do ucha Janka.

Wylali cię - ona powinna powiedzieć. Wylali go, to on sobie właśnie myślał.

- Prezesa - ona dopowiada.

- Co? - patrzy na nią szeroko otwartymi oczami.

- A nowy prezes powiedział, że zaraz jak przyjdziesz, to on cię prosi do gabinetu.

- Nowy prezes? - on nie nadąża za nią. Wcale nie nadąża.

- Edmund Pańko.

On nie wierzy. Patrzy i widzi, że oni wszyscy nie wierzą, że to się dzieje.

- Ale dlaczego? Dlaczego wylali starego prezesa - pyta.

- Za to, że kawa była zimna.

Otwiera usta, ale nic nie mówi. Pomyślał, że chodziło o szczerbioną filiżankę. On nie wie, jaka była ta kawa, przecież nie kosztował.

- Bo przyszedł prezes do Edmunda. I mu Edmund zarzucił, że kawa jest zimna. A prezes powiedział, że przecież on kosztował i ona na pewno nie była zimna.

- Tak powiedział? - on nie wierzy, że to się dzieje.

- Tak. A Edmund mu oświadczył, że gdyby chciał z nim ślinę wymienić, to by to było na jego własne żądanie.

- I co?

- I powiedział prezesowi, że ma mu zejść z oczu i zawołać Warkoczyka. Ciebie nie było. On uznał, że pracownicy są niezdyscyplinowani, że robią co chcą i on prezesa zwalnia. Bo tak być nie może.

Czyli, że co? Że on Adrian zachował posadę?

- Do prezesa masz iść.

Na pewno nie na długo.

Edmund miał bardzo ciemną marynarkę. I wyglądał praktycznie, jak wczoraj, tylko miał brodę niżej uniesioną i okulary. Wskazał mu dłonią niewielki taboret, co to miał obrazować przepaść między nimi. I to go znowu tak bardzo wkurzyło. No niby pozwolił mu usiąść. Nie to co były prezes. On kazał im stać. Nawet podczas narady. A był z klasy średniej, jak oni. Edmund był z wieżowców i pozwolił mu usiąść. Był skonsternowany, ale też wkurzony. On o tym, że jest wkurzony jeszcze nie zapomniał.

- Wolałbym pieniek – pomyślał.

Nie, nie pomyślał, powiedział na głos. I już Edmund patrzył.

- Pieniek?

Ma go już za totalnego kretyna.

- To znaczy postoję.

- Życzę sobie, by pan usiadł panie Warkoczyku.

- Warkoczyk.

- Plecionka. Przezwisko też panu pasuje.

On już ma dość. Plecionka. Ale siada, skoro ma posadę ratować, to nie warto się sprzeczać. Myśli o tych wszystkich do kwadratu, którzy by chcieli zająć miejsce Normana.

- Panie Warkoczyk. Poinformowano mnie, że pana zadaniem jest raport, który ma wyznaczyć wielkość produkcji dziennej, by zysk był jak największy.

By było średnio. Mu się to praktycznie samo na usta ciśnie. On je zamyka. Tak mocno dociska górną wargę do dolnej. Edmund na niego patrzy. Dość dziwnie. Znów oczy mruży, tylko bardziej.

- Panie Warkoczyk – jak dobrze, że mu się ta plecionka jednak nie przypomniała – Pan ma do zrobienia ten raport. Jeden dziennie. I ile czasu pan go wykonuje?

Ile czasu? Co to jest w ogóle za pytanie? No. I myśli. Właściwie nigdy o tym wcześniej nie myślał.

- Panie Warkoczyk! Ile z sześciogodzinnego czasu pracy przeznacza pan na wykonanie raportu?

Ile on przeznacza? Myśli, bo nie wie. Nigdy nie liczył. Siedzi sobie w pokoju, przez okno spogląda. To znów idzie zrobić kawę. Potem herbatę. Janka go zaczepi. Daniel technolog jakiś dowcip opowie. Bo przecież Damian technolog lubi żarty opowiadać. No i potem on raport robi. Narada jest i oni produkują. To znaczy pan Zdzisiu naciska czerwony guzik i maszyna rusza. A pan dyrektor biegnie do prezesa zameldować, że już produkcja idzie. Pan Zdzisiu patrzy jak maszyna idzie. On ma bardzo odpowiedzialną pracę, bo maszyna nie może stanąć. A jak stanie, to pan Zdzisiu i innych dziesięciu musi szybko działać. Najczęściej trzeba guzik na nowo wcisnąć, ale zdarzają się i trudniejsze przypadki. Jak maszyna zrobi swoje, czyli tyle ile on w raporcie opisał, to pan Zdzisiu dzwoni do dyrektora. A dyrektor znów biegnie do prezesa mu powiedzieć, że maszyna już nie pracuje. On w międzyczasie coś je, pije, poczyta, popatrzy przez okno. A teraz już patrzy na nowego prezesa i wie, że on mu tego nie może powiedzieć.

- Cały dzień – mówi w zamian.

Edmund mu się przygląda, a on naprawdę nie ma pomysłu, co ten nowy prezes może sobie o nim myśleć.

- Zastąpi pan Normana, oczywiście swój raport też pan będzie robił.

Czy on to naprawdę usłyszał? Ale przecież Norman się tak nisko kłania. On tak nie umie. Chociaż może i umie, ale nie chce. Nie i basta.

- Norman się tylko kłania - naprawdę powiedział to na głos. Nie całą prawdę wprawdzie, bo to o zaopatrzeniu w kawę wygodnie mu jest przemilczeć. On miał i tak więcej pracy niż Norman. Dlaczego ma go jeszcze zastępować?! To mu się w głowie nie mieści.

- Ale się bardzo dobrze kłania. Jego ukłon jest najwyższej jakości. Pana raport jest średni. Widzę w panu jednak ukryty potencjał i pozwolę panu udowodnić, że się pan nauczy nisko kłaniać. A nawet będzie pan to robił z lubością.

I jak on ma to rozumieć? Że niby co?

Babcia była zmęczona. Położyła się spać wcześnie, a on nie do końca wiedział, co ma z sobą począć. Śnieg za oknem wciąż sypał. Ostatnio to on często spał u babci. Naprawdę powinien rozważyć zamieszkanie w tym domu. Babcia była coraz starsza, on coraz bardziej zapracowany. Pomogą sobie wzajemnie. Szkoda tylko, że nie rozumiał, o co chodziło temu prezesowi. W szkole zawsze mu mówili, że podstawą wszystkiego jest umiar. Zawsze ma być nie za dużo i nie za mało. Nie za dobrze i nie za źle. Nie za szybko i nie za wolno. Średnio. Przeciętnie. Wówczas na wszystko starczy i będzie się żyło dobrze. Od dziecka tak ich wszyscy uczą, a teraz przychodzi ten prezes z wieżowców i chce mu światopogląd zmienić. Historia uczy, że tak się nie da. Tak było za czasów jego babci. Żyło się intensywnie. On nie wie, co to znaczy. Niby jak ma wiedzieć? Nie nauczyli go tego. On i tak wie więcej, niż inni. Czyta te książki historyczne z biblioteczki pradziadka. Takich książek już nie ma w księgarniach. Pewno następne pokolenia w ogóle już nie poznają historii. Nie będą wiedzieć, co było. Kto, w jakiej wojnie walczył, za co poległ. Kiedy kolej powstała, kto pierwszy balon wynalazł. Już nie było balonów, ani samoloty nie latały. Bo przecież mogły zagrozić tym z wieżowców. A ten Edmund, to co on sobie w ogóle myśli, że co!. On swoją pracę wykonuje tak, jak go uczono. Oczywiście czytał o tych ambitnych ludziach, którzy chcieli tak wiele. Ale on nie miał przecież na to szans. Próbował kilka razy. To afera się zrobiła. Bo pan Zdzisiu by musiał dłużej obserwować jak maszyna pracuje. Prezes by musiał dłużej w pracy siedzieć. Pan dyrektor by musiał jeszcze raz iść do prezesa, bo dwa razy mogłoby być za mało. I co on by mu wtedy powiedział? Maszyna nadal pracuje. Tyle. Ale on tak sobie myślał, że dyrektor zamiast tego mógłby przekazać, to co na liczniku odczyta. I mógłby wówczas powiedzieć. Panie prezesie maszyna już zrobiła czterdzieści sztuk. O i już by było. Tylko że im się nie chce, jemu też nie. Jak jest dobrze, to po co coś zmieniać. Ale teraz było inaczej. Im było dobrze, a on ma pracować za Normana. No czemu? I dlaczego? I babcia zasnęła, a on ją chciał spytać, co znaczy – z lubością. Takie staropolskie słownictwo. On takich wyrażeń nie zna. Taki archaiczny slang.

Mieli już kawę najwyższej jakości i porcelanową szklankę i spodeczek. Remontowali toaletę, by była najwyższej jakości. I w firmie panowało ożywienie. Bo jak taki wyremontowany sanitariat będzie wyglądać? Będzie taki, jak mają ci z wieżowców. Oni wreszcie będą coś wiedzieć.

- Pan też jest podekscytowany nową toaletą? - spytał go Edmund, gdy on przyniósł mu raport i ukłonił się nisko jak Norman.

No, nie jak Norman, bo Edmund pokręcił głową z niesmakiem na ustach.

- Toaleta mnie nie ekscytuje.

On się ma sanitariatem zachwycać? Kiedyś mieli tylko dziury w krzesłach i też było dobrze. On się właśnie zaczął śmiać, bo sobie wyobraził, że Edmundowi w tym jego krześle najwyższej jakości dziurę wycinają i pod nim kładą miskę. Miskę najwyższej jakości. Niech mu będzie. Świetnie. I już

Edmund zauważa ten jego uśmieszek.
- Toaleta pana nie ekscytuje panie Warkoczyk. A co pana ekscytuje?
On myśli. Tak, ten piękny widok za jego oknem, gdy te poranne słońce...i już to mówi Edmundowi.
- I jak szedłem po śniegu dzisiaj do pracy, to też się czułem podekscytowany i szczęśliwy. Śnieg jest za darmo, a i tak jest najwyższej jakości. Bo nic go przecież nie zastąpi. To jest wspaniałe uczucie, gdy on pod nogami tak skrzypi i jeszcze odbija promienie słoneczne. Takie niesamowite i takie ulotne. I wtedy się docenia tę jego wartość, gdy się czuje to przyjemne zimno na policzkach i zapach śniegu. On ma zapach. Jak się przystanie i zacznie wdychać, to naprawdę go czuć. W toalecie też pan może. I ja polecam. Niech pan sobie stoi w toalecie i podziwia muszlę najwyższej jakości. Ze złota, ze srebra, czy z czego ona tam będzie. Ja wolę mój śnieg.
I ukłonił się znów nisko. Nigdy mu nie powiedziano, ile razy się Norman kłaniał. Okazuje się, że on ma tej pracy naprawdę stanowczo za dużo.

Janka została upomniana i płakała. On się zdenerwował, że jego miła koleżanka z pracy została przez tego Edmunda tak potraktowana. A potem przybiegł dyrektor. Ten, którego zadaniem jest mówienie, czy produkcja idzie i czy produkcja staje. I ten dyrektor wszedł do jego pokoju. Nasrożył się i patrzy na niego – Adriana. A on właśnie podziwiał jak to w samo południe zaskrzeczała wrona i sfrunęła z jednego z tych nielicznych drzew, które on też widzi ze swojego okna. Przefrunęła i stanęła na cysternie z gazem. A tam stoi taki pan Krzysiu, obok tej cysterny. W zimie to on ma takie bardzo ciepłe ubranie, bo przecież by zamarzł, gdyby miał tak stać na mrozie źle ubrany. I ma też taki baraczek. A w nim ma długą rurę, która się kończy przy tych cysternach. W lecie pan Krzysiu siedzi na krześle i czyta. Czasem posztrykuje. On siedzi i patrzy, czy gaz nie ucieka. To znaczy, nie patrzy, bo gazu nie widać, tylko on czuje i wącha. Wszyscy to zawsze mówią, że to najgorsza jest praca. Bo ona trwa całą szychtę. Pan Krzysiu jeszcze do tego ryzykuje i dodatek ma za pracę w warunkach szkodliwych. Raz nawet coś wyczuł i zaraz się tak strasznie zrobiło. Większości tych osób, które w tej firmie pracują, wówczas zmroziło krew, ale nie jemu. On czytał o wojnie. Jak to żołnierze brnęli w rzece. Brudni, pomalowani błotem. Na ramionach ciężkie karabiny. Serce się z piersi wyrywa, jak człowiek czuje, że może w każdej chwili zginąć. I on tego zagrożenia jakoś tak nie widzi, patrząc na tego pana Krzysia, ani wyobrazić sobie jakoś nie może. Bo i ten pan Krzysiu siedzi w odpowiedniej odległości. Czyli nie za blisko i nie za daleko od tej cysterny. I on sobie tak myśli, że pan Krzysiu ma lepiej niż ci żołnierze. I, że takiej paniki wcale nie trzeba robić. Odwraca głowę w stronę dyrektora. Czego on znów chce? I on słucha, a tamten mówi, że w raporcie było za dużo produkcji do zrobienia. Nie, nie było za dużo. On myśli. Było minimalnie więcej niż wczoraj, a powinno być z dziesięć razy więcej, tylko że pan dyrektor tego nie rozumie. No bo jak on ma rozumieć, skoro go nie uczyli? I ten dyrektor zapewne nie miał takich mądrych książek, jak miał Adrian. I właśnie on sobie jedną rzecz uświadomił. Dlaczego tylko on miał takie mądre książki? Dlaczego inni nie mieli? On musi babcię

spytać. Przecież to było takie ważne. Spojrzał na dyrektora i razem usłyszeli alarm. Głośno on dzwonił. I Adrian się tym razem naprawdę wystraszył. A co się stało? Po jakiejś godzinie się Adrian dowiedział, że ta wrona, która usiadła na cysternę, ta wrona w nią dziobem uderzała i Panu Krzysiowi się alarm włączył. Taki jego prywatny, w głowie. A potem pan Krzysiu włączył już ten, co słychać. I już dziesięcioosobowa służba utrzymania ruchu i prewencji biegła po schodach. Potem im trzeba będzie nadgodziny płacić. Bo przecież oni biegli, podczas gdy mieli stać koło maszyny. Czy oni byli wobec tego w dwóch miejscach naraz? On myśli. Czy oni aby nie naciągają tego prezesa na nadgodziny? I Adrian już się uśmiecha do siebie. No, bo teraz był Edmund. I Edmund mu wyglądał na takiego, który dostrzeże to samo, co on. Tylko dlaczego Edmund wyglądał mu na takiego, co mógłby pomyśleć jak on? To było niepokojące.

I odbyła się narada. Na naradę zostało zaproszonych sześciu najważniejszych ludzi w firmie. I nie wiedzieć dlaczego on również. I siedzieli na taboretach. Ich sześciu wspaniałych. Trzech było dyrektorów. On to w sumie nie wiedział, po co byli ci dwaj pozostali, ale nie miał kogo spytać. Pani Ronalda księgowa nadrzędna. On i Daniel technolog. Edmund był zły. Adrian to czuł w powietrzu.

- Ja już chciałem panów wcześniej spytać, dlaczego przed firmą stoi budka z rurą.

Edmund patrzy na pewno w twarz jednego z dyrektorów. A oni się tak trzęsą. Ci pozostali dwaj. Jednemu w brzuchu burczy i on widzi, że Edmund to słyszy. I już ten dyrektor ma odpowiedzieć.

- Bo pan Krzysiu pilnuje, co gaz nie ucieknie – tłumaczy Edmundowi.

- A co on jest owcą na pastwisku?- pyta prezes.

- Kto?

Pytają oni w trójkę. To znaczy tych trzech dyrektorów.

- No przecież nie pan Krzysztof – Edmund zaciska pięści, widać, że szlag go prawie trafia.

- Panie Warkoczyk. Niech pan się ukłoni, co mi lżej będzie.

Dlaczego on ma się znów kłaniać? Już się dzisiaj dwa razy kłaniał, ale wie, że aby zachować posadę on musi. I wstaje. Ma też tę świadomość, że nigdy tego Normana nie pokona. W kłanianiu się oczywiście. Dyrektorzy się coraz bardziej trzęsą. On już siadł. Przecież nie będzie się kłaniał cały czas, jak Norman. Nic z tych rzeczy. No bo wtedy mu będą też musieli nadgodziny płacić. A jemu nie zależy. I tak nie ma na co tych pieniędzy wydawać. Zamiast krzesła ma pieńki. Ostatnio to nawet mu się spodobało zastępowanie tych rzeczy ze sklepu, tymi z natury. I on sobie nawet sam ramkę do obrazu zrobił. Jaka babcia była z niego dumna. On zauważył, że ramka jest krzywa. Ale babcia powiedziała, że chociaż krzywa, to ona jest z tego swojego Adrianka taka dumna. I potem on znów coś zauważył. Bo babcia od razu to nie powiedziała, że ramka chociaż krzywa jest ładna. Dopiero, jak on jej uwagę zwrócił, że ona krzywa, to wtedy i babcia to dostrzegła. Czasem coś trzeba tak wprost pewnym ludziom powiedzieć, bo oni są zaślepieni. Jak babcia przez miłość do niego. Jak zapewne Edmund, przez to, że dyrektorzy są na pewnych stanowiskach. Trzeba mu uświadomić coś,

co Adriana tak cholernie w tej firmie wkurza. I on właśnie wpada na genialny pomysł, ale poczeka, aż się dyrektorzy z tej sytuacji z panem Krzysiem wytłumaczą. Coś im jednak nie wychodzi.

- Dlaczego pan Krzysztof wącha, by gaz nie uciekał - pyta Edmund wysłuchawszy ich marnej jakości tłumaczeń - Skoro mamy najwyższej jakości czujniki w sklepach, i z tego co ja wiem, klasa średnia też ma do nich dostęp w swoich - A ten gaz jest w ogóle wonny?

Oni patrzą, jeden po drugim.

- Bo nas uczono - mówi ten jeden dyrektor, któremu w brzuchu burknęło - By nie zastępować maszynami, ani urządzeniami pracy ludzi, że to doprowadzi do kataklizmu.

- Ano w rzeczy samej - Edmund czuje się zbity z tropu, i on Adrian to widzi.

Z rok temu Edmund kazał maszynę do produkcji kupić. Maszynę na jeden guzik. Wtedy wszyscy myśleli, że świat się wali. No bo maszyna najwyższej jakości? Maszyny były jak najbardziej w porządku, ale nie takie na jeden guzik. Nie takie najwyższej jakości. To było nielegalne! Tylko że ten zakład był takim dzieckiem Edmunda a on, ponieważ mieszkał w wieżowcu na jednym z wyższych pięter, załatwił, że oni mogli. I mieli maszynę na jeden guzik, ale nadal produkowali średnio. I pewno dlatego Edmund był teraz prezesem. On tam w sumie już nie wierzył, że chodziło o tę wymianę śliny z tym pierwszym prezesem. Zwolnienie tamtego miało drugie dno.

- No dobrze - wzdycha Edmund - Niech ten pan Krzysiu zostanie. Tylko zamiast wąchać gaz, który zapewne jest bezwonny, niech on smaruje tę cysternę pędzlem z wodą z mydlinami. A teraz proszę się rozejść.

Oni nie rozumieją, o co chodzi z tym pędzlem, ale wszyscy przytakują. On też nie rozumie, ale przytakiwać nie zamierza. On swój niecny plan musi przecież zrealizować.

- Ja mam pytanie - mówi, a wszyscy zamierają w oczekiwaniu, co z tym zuchwalstwem zrobi Edmund.

- Słucham, tylko niech się pan najpierw ukłoni.

I się ukłonił, tym razem ochoczo.

- Czy panowie ze służby utrzymania ruchu i prewencji będą mieli wypłacone nadgodziny?

- Tak - odpowiada prezes - Pan dyrektor poinformował mnie o takowych w dniu dzisiejszym.

- A pan wie, że te nadgodziny są za to, że oni byli obok cysterny, zamiast przy maszynie?

- Nie rozumiem, co ma pan na myśli Panie Warkoczyk.

- Oni nie byli dłużej w pracy.

- Nadgodziny wydłużają czas pracy. Robienie nadgodzin oznacza, że pracownik pracuje dłużej. Czy pan tego nie rozumie panie Warkoczyk?

- Ja rozumiem, ale oni nie - dyrektorzy patrzą na niego z przerażeniem.

- Panie dyrektorze - prezes zwrócił się do tego burczącego - Niech pan wytłumaczy te nadgodziny.

- No, bo...- zaczyna, ale nie wie, co powiedzieć.

- A pani księgowa ma ewidencję czasu pracy pracowników? - pyta Edmund.

- Oczywiście.